Nr. 38. Kraków, dnia 20. września 1908 r. Rok XI.

BIURO bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu“ jest otwarte codziennie rano i popołudniu, ul. Karmelicka 53.

Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie, ul. Karmelicka 53.

OBRONA LUDU

wychodzi w każdą niedzielę.

Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Pochwalony Jezus Chrystus.

Ogłoszenia po 10 halerzy od wiersza petitowego w jednej szpalcie.

Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „OBRONY LUDU“ KRAKÓW, Karmelicka 53.

Kosztuje: W Galicyi i całych Austro-Węgrzech rocznie 4 korony (2 złr.), do cesarstwa niemieckiego 4 marki, do Ameryki 2 dolary, do Rumunii, Danii, Anglii i innych państw europejskich 5 koron. — numer pojedynczy 10 halerzy (5 centów).

Należytość płaci się z góry rocznie lub półrocznie.

Nasz nowy Sejm szlachecki.

Zebrał się wreszcie nasz nowowybrany Sejm we Lwowie. Posłowie, którzy zdobyli mandaty przekupstwem, wódką, piwem, kiełbasą, kłamstwami i oszustwami, zasiędą w sali sejmowej jako obrońcy kraju i ludu(!). Naturalnie żaden z nich nie wspomni ani słowem, w jaki to sposób uzyskali mandat. Wybory, to pierwszy akt komedyi galicyjskiej skończony. Teraz przyjdzie drugi akt, to jest: obrady sejmowe i wnioski posłów. Co ma Sejm najpilniejszego do zrobienia, już raz pisaliśmy, teraz, gdy się Sejm zebrał, raz jeszcze przypominamy.

Oto 1) powinien Sejm uchwalić **natychmiastową pomoc dla nędzarzy-rolników**. Nasz rolnik dzisiaj, to nędzarz, który tylko ze wstydu nie idzie pod kościół żebrać, ale on teraz biedniejszy i potrzebniejszy, aniżeli prawdziwy dziad kościelny.

2) Następnie powinien Sejm uchwalić **nową ustawę łowiecką**, i to w tym duchu, jak my ją lat 10 stawiamy, a mianowicie: **czyj grunt, tego zwierzyna.**

3) Po uchwaleniu ustawy łowieckiej należy się zaraz zabrać do **reformy wyborczej**. A reforma wyborcza musi być **powszechną, równą i tajną** — tak jak ustawa do Rady państwa.

Po uchwaleniu reformy wyborczej powinien Sejm być **rozwiązany i nowe rozpisane wybory.**

Jeżeliby ten Sejm szlachecki nie chciał uchwalić sprawiedliwej ustawy łowieckiej, to ją zostawić i forsować reformę wyborczą, a **nowy Sejm ludowy** uchwali sobie ustawę, jaką zechce i stańczyków o pozwolenie pytać już nie będzie. —

Co szlachta będzie w Sejmie robiła, to my już dawno wiemy, nasze oczy będą więc zwrócone nie na szlachtę, lecz na posłów ludowych, im trzeba patrzeć na palce. Muszą pokazać farbę. Podczas wyborów pomagał p. Stapiński stańczykom, dał im nawet bez wystrzału kilkanaście mandatów, pomógł im uzyskać w Sejmie większość — teraz się pokaże, czy im dalej będzie się wysługiwać, czy też zacznie bronić ludu. Posłowie ludowcy chyba już mają dosyć dowodów, że wielcy rolnicy tylko bronią swej skóry, a chłopa gotowi sprzedać każdej chwili i na chłopa zrzucać wszystkie ciężary, aby tylko im było dobrze i lekko.

Posłowie ludowcy mają chyba dosyć dowodów, że pierwszy lepszy sługuś pański strzela do chłopa jako do zająca na polu. Inna jest polityka pańska, a inna ludowa. Razem nigdy nie pójdą, inne ma interesa dwór, a inne chłopska chata, to trzeba rozumieć i pamiętać o tem muszą posłowie chłopscy i w imię ludowych interesów iść w bój ze szlachtą. —

Jeżeli jednak p. Stapiński pomagać będzie szlachcie za te ochłapy, co mu z pańskiego stołu zrzuca jak psu pod stół, to niech pamięta, że zagrzebie całą swoją dotychczasową pracę, a lud go kopnie. —

Sprawa reformy wyborczej, to walna bitwa między masą ludu a jego przewodnikami. — Zobaczymy.

Sprawy ludowe.

Od kilku miesięcy jesteśmy świadkami wstrętnej walki, jaka się toczy między „Przyjacielem“ a „Ojczyzną“. Ani ludowcom, ani Wszechpolakom tu walka nie przyniesie żadnej korzyści, a wywołuje słusznie oburzenie po jednej i po drugiej stronie. Ostatni numer „Przyjaciela“ nazywa Wszechpolaków wszami, pisze o nich: wszy polskie, „Ojczyznę“ nazywa polską wszą, czytelników wszechpolskie kanalie i t. d. W innem miejscu proponuje „Przyjaciel“ Wszechpolakom, aby Olszewskiemu zagiądnęli do dziury i nazywa ich gadzinami.

Oświadczamy, że tu cała walka i sposób jej prowadzenia budzi wstręt. Z tego lud nie ma korzyści. Walczmy o dobro ludu, o ustawy dobre dla niego, o zdobycie Sejmu i t. d. — walczmy o zasady, ale nie plujmy na siebie, bośmy przecież dzieci jednej Matki.

Skacz chłopie...

Szkody i straty w tym roku w naszym kraju wynoszą — według obliczeń rządowych — 127 milionów koron. Wiecie, ile rząd dał zapomogi dla tych tysięcy biednych rolników? — Oto tyle, że wypada na jednego **15 halerzy**, czyli **7½ centa!!!** Oto pomoc rządu wiedeńskiego, oto pomoc dla ciebie, biedny chłopie! Tyle się wystarał wódz Wszechpolaków pan Głąbiński, tyle się wystarał pan Stapiński! Ciesz się chłopie i skacz! Gdy w Tyrolu rzeki wylały, to rząd dał zapomogi **160** milionów, a tobie, Galicyo, dał aż 1½ miliona! Co Tyrol, to nie Galicya. Tam lud mieszka niemiecki, a tutaj polski i ruski, tam posłowie mają znaczenie, a nasi — ot ciury każdego rządu i tyle. A z ciarani któż się liczy?

Czyż może mieć jakieś znaczenie lub powagę w Wiedniu taki Szajer, wiecznie w dobrym humorze i nigdy naczczo, — albo taki Fijak, co nie umie pisać, albo Wójcik, co nawet nie umie sobie kupić kiełbasy w Wiedniu, bo nie wie, jak się po niemiecku nazywa, albo Potoczek, Mleczko lub śmieszny Paduch i t. d. i t. d. Czyż możecie żądać, aby rząd z takimi posłami się liczył? Gdy raz minister jednego z tych posłów zapytał po niemiecku, jak tam w Galicyi, wszystko dobrze, prawda, lud zadowolony? To ten poseł zaczął kiwać głową: tak, tak — jak osieł, bo nic nie wiedział i nic nie rozumiał, co do niego minister mówił. Nawet kwity na dziesiątki taki poseł nie potrafi sobie napisać, tylko mu musi pisać woźny parlamentarny, bo poseł nie potrafi. Więc jakich wybraliśmy posłów, taką dzisiaj mamy pomoc. Jak sobie pościeliliśmy, tak będziemy przez 6 lat spać.

Wiadomości ze świata.

Epidemia cholery w Petersburgu. Cholera ciągle rozszerza się. Magistrat przeznaczył 100.000 rubli na środki zapobiegawcze, zaangażował 100 lekarzy, wielu studentów medycyny i felczerów i urządził 7 baraków izolacyjnych.

Katastrofa na morzu. Z Rio de Janeiro donoszą, że angielski parowiec „Startian Prince“ zatonął. 14 osób zginęło.

Olbrzymi pożar lasów. W południowo-zachodniej Kanadzie, zwanej angielską Kolumbią, szalał straszny pożar lasów. Około 10.000 ludzi straciło całe swe mienie, musząc uchodzić przed nadciągającą zewsząd falą płomieni, które wichry roznosiły z przerażającą szybkością.

Najstraszniejszą była katastrofa w mieście Fernie, które tak niespodzianie otoczyły płomienie, że 74 osób nie znalazło już czasu, by uciec z domów i znalazło śmierć w ogniu. Przestrzeń ogarnięta pożarem wynosi przeszło 100 mil kwadratowych. Komunikacya kolejowa zupełnie uniemożliwiona, mosty zniszczone tak, że wszelki ratunek jak i ucieczka z zagrożonych obszarów niezmiernie trudna.

Urzędnik kolejowy powziął śmiały zamiar uratowania kasy kolejowej w Fernie. Gdy nadciągnęły płomienie, w ostatniej prawie już chwili dopadł drezyny i wówczas rozpoczął się straszliwy wyścig. Wiatr wzmógł się i za uciekającym urzędnikiem pędziły z szaloną szybkością płomienie. Już udało się mu zostawić daleko za sobą pożar, gdy w tem natrafił na miejsce, w którem tor kolejowy zniszczony był skutkiem pożaru. Zeskoczył więc z drezyny i zebrawszy wszystkie siły, począł uciekać piechotą, wreszcie w zupełnie prawie spalonem ubraniu udało mu się uciec do miasta Cranbrock, gdzie zupełnie nieprzytomnego oddano do szpitala.

Wieloryb — samobójcą. W czasie ostatniej podróży z Europy do Nowego Jorku zdarzyło się parowcowi „Teutonic", iż w bardzo dziwnych warunkach zabił wieloryba. Czterystu pasażerów okrętu przyglądało się ze zdumieniem i przerażeniem „samobójstwu" wieloryba, który, jak orzeczono, całkiem rozmyślnie szukał śmierci. Inaczej nie umiano wytłumaczyć sobie uporu, z jakim dążył on ustawicznie wprost ku śrubie okrętowej. Kapitan okrętu Smith opowiada mianowicie: „Zobaczywszy w odległości około 800 metrów wieloryba, zmierzającego ku naszemu okrętowi po tej samej linii, po której płynęliśmy, kazałem zmienić natychmiast kierunek statku. Uczyniłem to, bo chciałem uniknąć zderzenia, które mogłoby mieć dla śruby okrętowej fatalne następstwa. Zmiana kierunku nie pomogła, wieloryb bowiem tem silniej i prędzej zmierzał ku przodowi okrętu. W takich warunkach zderzenie stało się nieuniknionem i rzeczywiście nastąpiło — na szczęście bez szkody dla śruby. Tylko pokład trzeba było czyścić, bo cała przednia część okrętu została obficie zalaną krwią."

Tryumf aeroplanu (maszyny do latania) Wrighta. W d. 9. b. m. wzniósł się w powietrze Wright, przebywał w powietrzu 57 minut, następnego dnia odbył przelot trwający przeszło godzinę. Ruchy aeroplanu były spokojne i pewne, maszyna była posłuszna każdemu poruszeniu koła sterowego. Bawiący w Wiedniu wspólnik braci Wright twierdzi, że oba ostatnie wzloty Orville'a nie są m a x i m u m działalności aeroplanu Wrightów.

Wzlot Wrighta odbył się na polu ćwiczeń wojskowych koło Waszyngtonu w Ameryce, w obecności sztabu jenerlanego i licznych zaproszonych gości. Aeronauta wzniósł się lekko w powietrze i okrążył teren 58 razy, przebywając ogółem przestrzeń przeszło 50 kilometrów. Po spuszczeniu się na ziemię zapewnił Wright obecnych oficerów i inżynierów, że mógłby był znacznie dłużej jeszcze pozostać w powietrzu.

Lynch w Ameryce. Do pism amerykańskich donoszą z Oxfordu w stanie Missisipi, że tam podburzył członek senatu amerykańskiego Sullivan tłum do zlynczowania murzyna Pattona, aresztowanego za napad na białą kobietę. Po uwięzieniu murzyna tłum otoczył więzienie i przybrał groźną postawę. Obecnemu sędziemu udało się wpłynąć uspokajająco na zebranych, a tłum zaczął się już rozchodzić, gdy nagle Sullivan wbiegł na schody gmachu sądowego i donośnym głosem wezwał obecnych do wymierzenia murzynowi doraźnej sprawiedliwości. Tłum rzucił się tedy na więzienie, wyłamał drzwi kaźni, wywlókł nieszczęśliwego murzyna na ulicę i powiesił na najbliższem drzewie.

Wypadki automobilowe. O czterech wypadkach automobilowych, z których każdy był śmiertelny, donoszą pisma niemieckie i włoskie: W Payerbach, w pobliżu Wiednia, przejechał i zabił automobil 8-letniego synka pewnego robotnika; w Fryburgu w Bryzgowii zderzył się automobil z rowerem, przyczem kierownik wypadł z samochodu i znalazł śmierć skutkiem pęknięcia czaszki; koło Brukseli, skutkiem popsucia hamulca, wpadł samochód na mur budynku przydrożnego, przyczem wszyscy jadący odnieśli ciężkie uszkodzenia, a właścicielka samochodu, hr. Morgat, zginęła na miejscu.

O najstraszniejszym wypadku donoszą z Genui: Pędzący z wielką szybkością samochód, w którym znajdowały się 2 córki markiza Revedina, przejechał 6-letniego synka inżyniera Galori'ego. Zrozpaczony ojciec, który widział śmierć dziecka i nie mógł jej zapobiedz, wyciągnął rewolwer i strzelił za jadącymi. Pierwsza kula chybiła, druga natomiast raniła jedną z córek i zabiła kierownika. Samochód pozbawiony kierownika przebiegł jeszcze około 300 metrów i rozbił się o skały nadmorskie, przyczem i starsza z sióstr odniosła rany tak ciężkie, że niema prawie nadziei utrzymania jej przy życiu. Inżyniera, który pod wpływem wypadku popadł w obłęd, aresztowano, a obie śmiertelnie poranione panny odwieziono do domu rodziców.

Polepszenie bytu służby kolejowej.

Minister kolejowy projektuje **10 milionów koron rocznie** dla polepszenia bytu urzędników i służby kolejowej.

Z tej kwoty 8'3 milionów jest już uchwalonych, mianowicie mieści się w 18 milionach, które uchwalone zostały przez parlament dla polepszenia bytu służby; reszta, t. j. 1'7 milionów, będzie wstawiona w budżet na rok przyszły. To też podwyższenie nastąpi w jednej większej części już w październiku, w drugiej mniejszej od stycznia.

Podwyższenie obejmuje następujące grupy:

I. Polepszenie i systemizacya miejsc VII. rangi kosztem 500.000 koron.

II. Zrównanie płac inspektorów kolejowych z płacami urzędników państwowych tej samej rangi kosztem 50.000 koron.

III. Ryczałt na użycie mundurów ustanawia się na 120 koron rocznie, co wynosi 40.000 koron.

IV. Dla urzędników, podurzędników i służby:

Krzyżacka mać.

(Opowiadanie historyczne podług powieści Sienkiewicza p. t. Krzyżacy).
(15)

Jurand siedział czas jakiś z głową w dłoniach, lecz wreszcie ocknął się, jakoby ze snu, i rzekł z żałością i smutkiem:

— Udałeś ty mi się, pachołku, ale ci jej nie dam, bo nie tobie ona pisana, nieboże!

Zbyszko, usłyszawszy to, aż oniemiał i począł patrzeć na Juranda okrągłemi oczyma, nie mogąc słowa przemówić.

Lecz Danusia przyszła mu w pomoc. Bardzo jej miły był Zbyszko, i miło jej było uchodzić nie za „skrzata", ale za „źrzałą dziewkę". Podobały jej się i zrękowiny i słodkości, jakie jej rycerzyk codziennie znosił, więc teraz, gdy zrozumiała, że jej to wszystko chcą odjąć, zsunęła się co prędzej z poręczy krzesła i, ukrywszy głowę na kolanach ojca, poczęła wołać:

— Tatulu, tatulu, bo będem płakać!

On zaś widocznie kochał ją nad wszystko, gdyż położył łagodnie dłoń na jej głowie. W twarzy jego nie było ni zawziętości, ni gniewu, tylko smutek.

Zbyszko tymczasem ochłonął i rzekł:

— Jakże to? To woli boskiej chcecie się przeciwić?

A na to Jurand:

— Jak będzie wola boska, to ją dostaniesz, jeno ci mojej nie mogę przychylić. Ba, radbym ci przychylił, ale nie lża...

To powiedziawszy, podniósł Danusię, i wziąwszy ją na ręce, skierował się ku drzwiom, gdy zaś Zbyszko chciał mu zastąpić drogę, zatrzymał się jeszcze na chwilę i rzekł:

— Nie będą na cię krzyw o rycerskie służby, ale mnie więcej nie pytaj, gdyż nie mogę ci nic rzec.

I wyszedł.

III.

Następnego dnia nie unikał Jurand bynajmniej Zbyszka, ani mu też przeszkadzał w oddawaniu Danusi w drodze rozmaitych przysług, które jako rycerz powinien był jej oddawać. Owszem — Zbyszko, choć wielce w sercu strapiony, zauważył przecie, iż posępny pan ze Spychowa spoglądał na niego życzliwie i jakby z żalem, że musiał mu dać tak okrutną odpowiedź. Próbował też młody włodyka niejednokrotnie zbliżyć się do niego i zacząć z nim rozmowę. Po wyruszeniu z Krakowa, w czasie podróży, o sposobność nie było trudno, gdyż obaj towarzyszyli księżnej konno. Jurand, lubo zwykle milczący, rozmawiał dość chętnie, ale gdy tylko Zbyszko chciał dowiedzieć się czegoś o tajemniczych przeszkodach, dzielących go od Danusi, rozmowę urywała się nagle, twarz Juranda czyniła się chmurną, sam zaś poczynał spoglądać niespokojnie na Zbyszka, jakby w obawie, żeby się czemś nie zdradzić. Myślał Zbyszko, że księżna wie więcej — upatrzywszy zatem sposobną chwilę, starał się od niej jakąkolwiek wiadomość wydostać, ale ona nie wiele także mogła mu powiedzieć.

— Juści jest tajemnica — rzekła. — Powiedział mi o tem sam Jurand, jeno prosił zarazem, abym go nie wypytywała, bo powiedzieć nietylko nie chce, ale i nie może. Pewnikiem przysięgą jakoweś związan, jak to między ludźmi bywa. Bóg wszelako da, że z czasem wszystko to wyjdzie na jaw.

— Takoby mi bez Danuśki na świecie było, jako psu na powrozie, albo jak niedźwiedziowi w dole — odrzekł Zbyszko. — Ni radości nijakiej, ni uciechy. Nic, jedno frasunek i wzdychanie. Poszedłby ja już do Tawani z księciem Witoldem, niechby mnie tam Tatarzy zabili. Ale wpierw muszę stryjca odwieźć, a potem one pawie czuby Niemcom ze łbów pościągać, jakom zaprzysiągł. Może mnie przytem zabiją — co i wolę, niż patrzeć, jako Danuśkę inny zabierze.

Księżna podniosła na niego swoje dobre niebieskie oczy i spytała z pewnem zdziwieniem:

— A tobyś na to przyzwolił?

1) Zniżenie szacunku mieszkania w naturze o 20 proc. do 30 proc.;

2) uregulowanie kwaterowego w miastach, gdzie jest ono mniejsze od dodatku aktywalnego państwowych urzędników;

3) podwyższenie dodatków za służbę nocną w większych stacyach na 2 korony, a dla urzędników telegraficznych na 1 K, w mniejszych stacyach na 1·50 K względnie 0·75 K, co wszystko razem wynosi 125.000 K;

4) dodatki funkcyjne dla naczelników stacyi 380.000 K;

5) ryczałty podróżne w służbie konserwacyi kolejowej 22.000 K;

6) maszyniści otrzymają miesięcznie dodatek 40 K (razem 80.000 K);

7) dodatki za jazdy dla personalu maszynowego podwyższono o 20 proc. kosztem 2 milionów kor.;

8) dodatki dla urzędników kasowych i kalkulacyjnych w wysokości od 72—144 K rocznie (razem 230.000 K);

9) za badanie kotłów po 10 K;

10) wreszcie ministerstwo projektuje polepszenie automatycznego awansu kosztem 1 miliona koron a podwyższenie płac dziennych kosztem 2½ miliona koron.

Z tego projektu widać, że panowie urzędnicy, co siedzią przy zielonych stolikach w dyrekcyach, ci otrzymują największe podwyższenia pensyi, a najmniej dostaną ci, co dzień i noc czuwać muszą, aby nie było nieszczęścia i wypadku, a więc służba na linii i przy pociągach.

I znowu okazuje im to prawdę, cośmy już dawno powiedzieli i napisali, że służba kolejowa tak długo będzie *wyzyskiwaną i poniewieraną*, dopóki się nie złączy w jeden obóz i nie zrobi jeneralnego strejku od razu na wszystkich liniach. Ręczymy, że wciągu 24 godzin — dałby rząd wszystko, czego żądamy.

Amerykańska maszyna do latania.

Dwaj bracia Amerykanie po 10 latach pracy wynaleźli maszynę do latania. Pisma angielskie donoszą o tym niezwykłym wypadku następujące szczegóły.

Dnia 9. b. m. zrana otrzymał Wrigth, znajdujący się podówczas w klubie Kosmos w Waszyngtonie, wiadomość telefoniczną od asystentów swoich, że powietrze na placu ćwiczeń wojskowych pod fortem Mayrs jest najzupełniej spokojne. Udał się więc tam natychmiast i o godz. 8. min. 15 zrana wsiadł do aeroplanu, puścił w ruch motor i uniósł się łatwo w górę. Próba pierwsza nie była oficyalna i dlatego oficerowie oddziału aeronautycznego nie wysłali komisyi.

Aeroplan okrążył najpierw pole ćwiczeń wojskowych koło fortu Mayrs w wysokości ośmiu metrów. Na tej wysokości, aeroplan posłuszny najlżejszemu poruszeniu wynalazcy, zatoczył jedno, drugie i trzecie koło, jak wielki, żywy orzeł. Przy piątym zwrocie Wright nastawił przednią płaszczyznę sterowniczą oraz ruchome brzegi głównego skrzydła nieco ku górze i maszyna wzniosła się do 45 metrów i utrzymywała się na niej aż do końca jazdy.

Od czasu do czasu widziano, jak aeronauta badał drobiazgowo motor, we wszystkich jednak ruchach znać było pewność siebie, automatyczne kierowanie maszyną tak, jak cyklista automatycznie utrzymuje równowagę na bicyklu.

Często przytem zmieniał wysokość, to sunął niemal przy samej ziemi, to wznosił się do 150 stóp wysokości. Raz nawet, żartując, posunął się wprost na tłum widzów, którzy rozpierzchli się. Widzów zdumiała ta śmiałość i pewność aeronauty, Wright jednak żeglował dalej i dalej, zataczając coraz większe kręgi, aż ponad cmentarz w Arligton i druty kolei elektrycznej, daleko poza placem rządowym, unosząc się przytem i opadając, cofając się i prąc naprzód zupełnie dowolnie bez najmniejszych wahań lub wstrząśnień.

Po dwudziestu pięciu okrążeniach terenu obecni sprowadzili szybko delegacyę oddziału aeronautycznego. Członkowie jej z podziwem patrzyli na lot Wrighta, a major Squirnes oświadczył szczerze, że jest to najpiękniejsza chwila jego życia, skoro Amerykanin odniósł taki tryumf. Wright okrążał dalej teren, aż wreszcie po 58. okrążeniu opuścił się na ziemię. Twierdził on, że zatracił rachubę czasu i że czuł tylko zmęczenie wskutek zawrotnego biegu. Tem też tłómaczy, że podczas pierwszego wzlotu nie przebył całej godziny w powietrzu, jak tego wymaga układ zawarty z rządem Stanów Zjednoczonych, lecz opuścił się o trzy minuty wcześniej.

Tego samego dnia popołudniu Wright powtórzył wzlot. Tym razem zebrało się już nieporównanie więcej widzów. Przybył kandydat na prezydenta, Taft, jenerał Crozier, wojskowy attache francuski Fournier, wielu oficerów oddziału aeronautycznego, którzy mają wydać sąd o aeroplanie i ewentualnie polecić zakupienie go przez rząd Stanów Zjednoczonych. Tym razem Wright przebył w powietrzu godzinę 3 minuty i 13 sekund, a po opuszczeniu się na ziemię wzniósł się raz jeszcze, zabierając z sobą porucznika Franka Lahna, aby dowieść, że sprawność ruchów jego machiny jest równie dokładna, bez względu na to, czy w aeroplanie zajmuje miejsce jeden człowiek, czy dwóch.

Późniejsze próby dały podobny, a nawet lepszy jeszcze wynik, tak, że przypadkowość szczęśliwego pierwszego wzlotu jest absolutnie wykluczona. To też rząd amerykański powziął ostateczną decyzyę zakupienia machiny powietrznej braci Wrightów, zwłaszcza, że specyalnie delegowana komisya aeronautyczna wyraża się o niej ze szczerem uznaniem i podziwem.

Bądź co bądź jednak można dzisiaj powiedzieć bez przesady, że powietrze zostało zdobyte przez człowieka. Oczywiście potrwa jeszcze czas pewien, zanim żegluga powietrzna zdoła się rozwinąć na szersze rozmiary, niewątpliwem jednak jest jedno, to, że zasady lotu i to lotu z

---

— Ja? Póki mi tchu w nozdrach, nie będzie tego! Chybaby mi ręka uschła i topora zdzierżyć nie mogła!

— Ano, widzisz.

— Ba! Ale jako-że mi ją przeciw ojcowej woli brać?

Na to księżna, jakby do siebie:

— Mocny Boże! albo to się i tak nie przytrafia...

Potem zaś do Zbyszka:

— Zali wola boska nie mocniejsza od ojcowej? A coże Jurand rzekł? „Jak — powiada — będzie wola boska, to ją dostanie".

— To samo i mnie rzekł! — zawołał Zbyszko: — „Jak — powiada — będzie wola boska, to ją dostaniesz".

— A widzisz?

— Toż, przy waszej łasce, miłościwa pani — jedyna pociecha.

— Moją łaskę masz, a Danuśka ci dotrzyma, Wczoraj jeszcze mówię jej: Danuśka, a dotrzymasz-li ty Zbyszkowi? A ona powiada tak: „Będem Zbyszkowa, albo niczyja". Zielona to jeszcze jagoda, ale jak co powie, to i dotrzyma, boć to szlacheckie dziecko, nie żadna powsinoga. I matka jej była taka sama.

— Dałby Bóg! — rzekł Byszko.

— Jedno pamiętaj, byś i ty dotrzymał — bo to niejeden chłop bywa płochy: obiecuje wiernie miłować, a zaraz ci potem dęba do innej, że go i na posterunku nie utrzymasz! Sprawiedliwie mówię! Trafi ci się taki, co będzie rżał do każdej dziewki, jako wyobroczony koń.

— A niechże mnie Pan Jezus wpierw skarze! — zawołał z zapałem Zbyszko.

— No, to pamiętaj. A jak stryjca odwieziesz, to na nasz dwór przyjeżdżaj. Zdarzy się tam sposobność, że ostrogi dostaniesz, a potem zobaczym, jako Bóg da. Danuśka przez ten czas dojrzeje i wolę bożą poczuje, bo teraz miłuje cię ona wprawdzie okrutnie — inaczej nie mogę rzec — ale nie tak jeszcze, jako wyrosłe dziewki miłują. Może też i Jurand się w duszy do ciebie nakłoni, bo jako miarkuje, to onby rad. Pojedziesz i do Spychowa, i razem z Jurandem na Niemców; może się przytrafić, że mu się jako przysłużysz i całkiem go sobie zjednasz.

— To właśnie, miłościwa księżno, tak samo myślałem uczynić, ale z pozwoleństwem będzie mi łacniej.

Rozmowa ta wielce dodała ducha Zbyszkowi. Tymczasem jednak na pierwszym popasie stary Maćko zachorzał tak, że trzeba było przyzostać i czekać, póki choć trochę sił do dalszej podróży nie odzyska. Zostawiła mu dobra księżna Anna Danuta wszystkie leki i dryakwie, jakie z sobą miała, ale sama musiała jechać dalej, przyszło więc obu włodykom z Bogdańca rozstać się z dworem mazowieckim. Padł Zbyszko, jak długi, do nóg naprzód księżnie, potem Danusi, poprzysiągł jej jeszcze raz wierne służby rycerskie, obiecał przyjechać rychło do Ciechanowa, albo do Warszawy, wreszcie porwał ją w swoje silno ramiona i podniósłszy do góry, jął powtarzać wzruszonym głosem:

— Pamiętajże ty o mnie, kwiatuszku najmilejszy, pamiętaj, rybeńko moja złota!

A Danusia, objąwszy go ramionami, tak właśnie, jak młodsza siostra obejmuje miłego brata, przyłożyła swój zadarty nosek do jego policzka i płakała wielkiemi, jak groch, łzami, powtarzając:

— Nie chcę do Ciechanowa bez Zbyszka, nie chcę do Ciechanowa!

Widział to Jurand, ale gniewem nie wybuchnął. Owszem, pożegnał i sam bardzo życzliwie młodzianka, a gdy już siedział na koniu, nawrócił jeszcze raz ku niemu i rzekł:

— Ostawaj z Bogiem i urazy do mnie nie chowaj.

— Jakobym miał urazę do was chować, kiedyście Danusków ojciec! — odrzekł szczerze Zbyszko.

I pochylił mu się do strzemion, ów zaś ścisnął mu silnie rękę i rzekł:

— Szczęść ci Boże we wszystkiem!... rozumiesz?

I odjechał. Zbyszko jednakże zrozumiał, jak wielka życzliwość tkwiła w ostatnich jego słowach, i wróciwszy do wozu, na którym leżał Maćko, rzekł:

pomocą machin cięższych od powietrza, zostały przez braci Wrightów rozwiązane.

Minister — defraudant.

Z Danii nadeszła niezwykła wiadomość. Minister sprawiedliwości Alberti został aresztowany przez policyę i osadzony w więzieniu śledczem jako fałszerz dokumentów. Alberti do ostatniej chwili cieszył się szacunkiem i zaufaniem powszechnem.

Alberti był jednym z najbardziej znanych prawników i najpopularniejszych adwokatów Danii. Od r. 1901 był ministrem sprawiedliwości w dwóch po kolei gabinetach. W tym samym czasie poczęły się wikłać jego stosunki materyalne, o czem jednak nikt nie wiedział, tem więcej, że nieograniczony kredyt, jakiego mu udzielano, pozwalał mu nowemi zobowiązaniami pokrywać stare. Dla ratowania kredytu założył nawet włościańską kasę oszczędności, dla której wpływami swymi uzyskał dwumilionową pożyczkę w ministeryum finansów. Kasa ta upadła równocześnie z Albertim.

Alberti aż do ostatnich czasów miał nadzieję, że uda się mu przyprowadzić swoje sprawy do porządku. Największe nadzieje pokładał w spekulacyach giełdowych, do których jednak nie miał szczęśliwej ręki. Gdy przed kilku dniami nadszedł termin zwrócenia skarbowi państwa półtoramilionowej pożyczki włościańskiej kasy oszczędności, upadek stał się nieuniknionym. Alberti, nie mając potrzebnej sumy, wręczył prezesowi ministrów jeszcze na kilka dni przed ostatecznym terminem płatności prośbę o dymisyę. Dymisya została przyjętą, a Alberti, po upływie dwóch dni, gdy wszelkie środki ratunku okazały się niemożliwymi, udał się do dyrekcyi policyi, złożył zeznania i dał się aresztować. Przed drzwiami więzienia postawiono straż.

Gdy przed kilku laty toczył się przeciw pewnemu burmistrzowi, z którym Alberti w bliskich pozostawał stosunkach, proces o znaczniejsze defraudacye — zaczęły pojawiać się głosy, że i Alberti nie jest w tej aferze bez winy. Głosy, jak się dziś pokazuje, słuszne. Jednak burmistrz wspólwinnego nie wydał i sprawa po pewnym czasie przycichła.

Alberti był wybitnym politykiem i miał wpływ wielki. Gdy wręczył prośbę o dymisyę, na dwa dni przed wykryciem malwersacyi, został mianowany tajnym radcą, a wieczorem tegoż dnia był jeszcze na bankiecie dworskim, podczas którego król długo z nim rozmawiał, nie przeczuwając wtedy, że exminister prawie wprost ze zamku królewskiego pójdzie do więzienia.

Dzienniki donoszą, że król również pożyczył Albertiemu milion koron. Alberti ma zamiar pomścić się na swych wspólwinnych kolegach i wszystkich ich wydać w ręce sprawiedliwości. Dzisiaj wiadomo już, że w dawnym Banku chłopskim zdefraudował Alberti 11 milionów koron; w innych zakładach finansowych sumy zdefraudowanej jeszcze nie ustalono.

Polacy w Szpilbergu.

Żaden z narodów, znajdujących się pod jarzmem austryackiem, nie dostarczył Grajgórze tylu ofiar sprawy wolności, co naród polski. Podobnie jak po procesach, wywołanych wyprawą Zaliwskiego, szły całe kolumny polskich męczenników zaludniać ponure cele Kufsteinu, tak po katastrofie w r. 1846 dążyły ku Bernu długie szeregi wozów pocztowych, wiozących skazańców polskich. A było ich tam już nie mało, zesłanych po różnych procesach w latach 1841-1847; w ich liczbie byli: Henryk Hubicki, X. Mik. Hordyński, Wł. Czaplicki, Henr. Bogdański, Lonard Stawski, Eugeniusz Chrząstowski, Leander Pawlikowski i późniejszy kardynał, książę-biskup krakowski Albin Dunajewski.

Grono to powiększyło się w lipcu 1847 o stupięćdziesięciu przeszło ziomków, skazanych wyrokami barbarzyńskich sądów na dłuższe lub krótsze więzienie. Mieścili się oni w osobnym pawilonie od strony dzisiejszej Thalgasse, a chociaż przerażające to były więzienia, to wydały się one po norach, w jakich ich trzymano w kraju, a zwłaszcza we Lwowie, o wiele lepszemi! To może być miarą tortur, jakie przechodzili na własnej ziemi! W kaźniach mieściło się po czterech zazwyczaj więźniów, chociaż były i większe, urządzenie ich składało się z łoża i półki nad niem, na której leżały: grzebień, szczotka, szklanka i biała „szlaimyca“, obok półki wisiał ręcznik. Ubranie opatrzone numerem składało się ze zgrzebnej koszuli, kurtki, drelichowych pantalonów i długiej kamizelki. Ubranie było w jednej połowie białe, w drugiej ciemne prążkowane; strój uzupełniała biała perkalowa chustka na szyi, biały kapelusz a wreszcie kajdany, których nie zdejmowano nawet chorym więźniom. Bieliznę i pościel zmieniano raz w tygodniu; każdy z więźniów musiał dać ogolić brodę i wąsy. Z powodu tej brutalnie wykonywanej, a upokarzającej operacyi, przychodziło często do gwałtownych zajść między więźniami a personalem, które naturalnie kończyły się smutno dla pierwszych, gdyż opornych osadzano w podziemnych wilgotnych i ciemnych kazamatach, w których rujnowali doszczętnie zdrowie. Jedną z ofiar takiego zajścia był Henryk Hubicki, który za opór, stawiany przy goleniu zarostu, wtrącony został na pięć tygodni do podziemnych kazamat i dostał tam wybuchu krwi. Pozostawiono go bez pomocy lekarskiej i dopiero po piątym krwotoku wyniesiono nieprzytomnego już do kaźni na parterze, gdzie w kilka godzin później skonał 17. lutego 1847.

Krzepili się skazańcy wspólną modlitwą, śpiewaniem pieśni pobożnych, narodowych i okolicznościowych, komponowawanych w więzieniu, najzwyklej przez Juliusza Gosiara, zwanego „wieszczem Grajgóry“. „Młody, niewielkiego wzro-

---

— Wiecie? onby też chciał, jeno mu coś przeszkadza. Wyście byli w Spychowie i rozum macie bystry, to starajcie się wymiarkować, co to jest.

Lecz Maćko zbyt był chory. Gorączka, którą miał od rana, powiększała się pod wieczór do tego stopnia, że począł tracić przytomność, więc zamiast odpowiedzieć Zbyszkowi, spojrzał na niego, jaby ze zdziwieniem, potem spytał:

— A gdzie tu dzwonią?

Zbyszko zląkł się, przyszło mu bowiem do głowy, że skoro chory słyszy dzwony, to widać, że już śmierć ku niemu idzie. Pomyślał też, że stary może umrze bez księdza, bez spowiedzi, a tem samem dostać się, jeżeli zgoła nie do piekła, to przynajmniej na długie wieki do czyścia — więc postanowił go jednak wieźć dalej, by jak najprędzej dostać się do jakowejś parafii, w której Maćko mógłby przyjąć ostatnie Sakramenta.

W tym celu ruszyli na całą noc. Zbyszko siadł na wóz z sianem, na którym leżał chory, i czuwał nad nim aż do białego dnia. Od czasu do czasu poił go winem, którem zaopatrzył ich na drogę kupiec Amylej, a które spragniony Maćko pił chciwie, albowiem przynosiło mu ono widoczną ulgę. Po drugiej kwarcie odzyskał nawet przytomność, po trzeciej zaś zasnął tak głęboko, że Zbyszko pochylał się nad nim chwilami, by się przekonać że nie umarł.

I na myśl o tem zdejmował go żal głęboki. Do czas swego więzienia w Krakowie, nie zdawał sobie nawet dobrze sprawy, jak dalece miłuje tego „stryjca“, który mu był w życiu ojcem i matką. Lecz teraz wiedział o tem dobrze, a zarazem czuł, że po jego śmierci będzie okrutnie sam na świecie — bez krewnych, prócz owego opata, który trzymał w zastawie Bogdaniec, bez przyjaciół i bez pomocy. Jednocześnie przychodziło mu na myśl, że Maćko, jeśli umrze, to też przez Niemców, przez których on sam mało szyi nie stracił, przez których zginęli wszyscy jego ojce i Danusina matka i wielu, wielu niewinnych ludzi, których znał, lub o których słyszał od znajomych — i aż poczynało go zdejmować zdziwienie. „Zali — mówił sobie — w całym tem królestwie niema człowieka, któryby od nich krzywdy nie doznał i pomsty nie pragnął? Tu przypomniał sobie Niemców, z którymi wojował pod Wilnem i pomyślał, że pewnie i Tatarzy srożej od nich nie wojnią, i że takiego drugiego narodu chyba na świecie niema.

Świt przerwał mu te rozmyślania. Dzień wstawał jasny, ale chłodny. Maćko widocznie miał się lepiej, bo oddychał równiej i spokojniej. Zbudził się dopiero, gdy słońce dobrze już przygrzało, otworzył oczy i rzekł:

— Ulżyło mi. A gdzie jesteśmy?

— Dojeżdżamy do Olkusza. Wiecie?... gdzie srebro kopią i olbory do skarbu oddają.

— Żeby tak mieć, co jest w ziemi! Otby można Bogdaniec zabudować!

— Widać, że wam lepiej — odrzekł, śmiejąc się, Zbyszko. — Hej! starczyłoby i na murowany zamek! Ale zajedziem do fary, bo tam i gościnę nad dadzą i będziecie się mogli wyspowiadać. Wszystko jest w boskich ręku, ale równo lepiej mieć sumienie na porządek.

— Ja grzeszny człowiek, rad się pokajam — odrzekł Maćko. — Śniło mi się w nocy, że mi dyabli skórznie z nóg ściągają... I po niemiecku z sobą szwargotali... Bóg łaskaw, że mi ulżyło. A ty spałeś krzynę?

— Jakożem miał spać, kiedym was pilnował?

— To przylegnij sobie trochę. Jak dojedziemy, to cię zbudzę.

— Gdzie mnie tam do spania!

— A co ci przeszkadza?

Zbyszko spojrzał na stryjca oczyma dziecka.

— A co, jak nie kochanie? Aże mnie kolki od wzdychania w dołyszku sparły, ale siądę trochę na konia, to mi ulży.

(C. d. n.)

stu — opisuje go Pepłowski — szczupły, bardzo miłej powierzchowności, odznaczał się łagodnością usposobienia i żelaznym hartem ducha. Skromnością i miłością swoją ku Polsce, był Goslar prawdziwym apostołem świętej sprawy, gotów dla niej każdej chwili ponieść śmierć męczeńską“. Tak się też stało. Goslar, powróciwszy w r. 1848 do kraju, wziął czynny udział w ówczesnym ruchu w kraju, a następnie we Wiedniu. Schwytany w dniu 29. stycznia 1849 r., skazany został na pięcioletnie więzienie w Kufsteinie, które jednak, ułaskawiony, już po roku opuścił. Przybywszy do kraju, znów rozpoczął robotę konspiracyjną, popierany przez Adama Potockiego z Krzeszowic i Albina Dunajewskiego. Wskutek tego znowu został aresztowany w dniu 31. maja 1851 r. i odstawiony do Wiednia, gdzie skazany przez sąd, zginął na szubienicy w dniu 2. lutego 1852 r. Śpiewano utwory Goslera obok pieśni narodowych; jedna z najulubieńszych śpiewek jego zaczynała się od słów: „Kiedyż rzucim te więzienia?“ Śpiewał tam:

„Wywieźli nas w zachód słońca,
Gdzie Szpilberga gród,
Lecz nasz związek niema końca
Bośmy jeden ród!
Daj nam Boże w lepszej dobie
Ścisnąć bratnią dłoń!
Lub też złożyć w ojców grobie,
Tę zbolałą skroń.“

W popisach brali udział Apolinary i Ludwik Stokowscy, Edward Rylski, a w nabożnych pieśniach też dzielny organista z Chochołowa, Jan Andrusikiewicz wraz ze swoimi góralami Jacentym Kojsem, wójtem z Chochołowa, Jankiem Koisem, przysiężnym i Jankiem Styrculą, którzy służyli sprawie narodowej pod wodzą zacnego kapłana ks. Kmietowicza Józefa.

Ale pozatem życie było bardzo ciężkie; zarządca więzienia Adelsberg, człowiek zły i głupi, dokuczał więźniom jak mógł, a za najmniejsze wykroczenie przeciwko regulaminowi karał ich osadzeniem w kazamatach podziemnych, na wikcie pospolitych zbrodniarzy. Służba lekarska była niedostateczna i niedbała, chorzy byli zdani na łaskę Opatrzności. Więzień chorował i konał w kajdanach, a martwe zwłoki wrzucano do dołu cmentarnego bez trumny i księdza. Czterej zakuci w łańcuchy zbrodniarze i kilku strażników — oto cały orszak pogrzebowy!

Wreszcie pewnego dnia więźniowie, którzy nie wiedzieli nic o zmianach, jakie tak nagle zaszły w początkach wiosny 1848 r. — usłyszeli huczne wiwaty u podnóża góry i przez okna ujrzeli jakiś niezwykły ruch w mieście. Zrazu spoglądali dosyć obojętnie, nie przypuszczali bowiem ażeby zaszło coś, coby na ich losy wpłynąć mogło. Ale już 20. marca nastąpiło wyjaśnienie zagadki. Zawezwano wszystkich więźniów polskich na dziedziniec, gdzie po niejakim czasie zjawił się ówczesny gubernator Moraw Leopold hr. Lazańsky z aktem amnestyi w ręku. Ludność Berna, która tak sympatycznie była usposobioną dla internowanych tam Polaków po rewolucyi listopadowej, i tym razem serdecznie witała więźniów, obnosząc ich na ramionach po całem mieście. Gniewało to rząd morawski, który starał się jak najszybciej wyprawić niemiłych gości.

Na dworcu berneńskim przemówił do obywateli imieniem Polaków Julian Goslar, dziękując za współczucie i sympatyę: wśród gromkich okrzyków berneńskiej publiczności „Es leben die Polen“, ruszył pociąg, unosząc męczenników ku Ojczyźnie, gdzie z tęsknotą ich oczekiwano.

Ale i po roku 1849 nie brakło znów Polaków na Grajgórze!

Przetrwaliśmy — i da Bóg przetrwamy!

Z Lizbony do Parany.

Już za Lizboną, ku brzegom zachodniej Afryki zaczynają podróżnych trapić ogromne upały, które wzmagają się w miarę zbliżania się do równika. Potem jest się jak w parowej łaźni... Pierwszy etap podróży do Dakkar, stolica posiadłości francuskich w zachodniej Afryce. Widok, jakie przedstawia takie „czarne“ miasto, szczególniej w dzień świąteczny, jest nadzwyczaj ciekawy i niezwykły. Tłumy murzynów w przerozmaitych ubraniach, frakach, cylindrach, kolorowych surdutach, ale wszyscy boso spacerują przy dźwiękach muzyki, tworząc rozgwar i hałas, jak gdyby w milionowem mieście. Same miasto dość nędzne; jeszcze część zamieszkała przez Europejczyków jako tako, ale murzyńska przedstawia się bardzo licho. Nędzne chaty okrągłe, kryte trzciną i — okropny zaduch. Rio de Żaneiro, gdzie kończy się podróż morska, to już miasto europejskie, piękne, ale niemożliwe z powodu upałów. Gorąco dochodzi tam do 40 stopni w dzień i w nocy. To też Europejczycy nieprzyzwyczajeni do takiego klimatu, uciekają stamtąd czemprędzej.

Za Rio, na tak zw. „wyspie kwiatów“ znajduje się dom emigracyjny; same budynki, chociaż niewielkie, ale położone na ślicznej wysepce, w głębi zatoki, otulone ogrodami, sprawiają bardzo miłe wrażenie. Dom urządzony starannie i wygodnie, z osobnymi pokojami familijnymi. Pożywienie, jakie otrzymują emigranci, jest zdrowe i posilne, to też przeważnie wszyscy oni są zadowoleni z chwilowego tam pobytu.

Z Rio de Żaneiro do Kurytyby to jeszcze kawał drogi. Z portu parańskiego Paranagua przesiąść się należy na kolej żelazną, która prowadzi do Kurytyby. Cała podróż uważana jest przez podróżników za jeden z cudów świata. Wśród olbrzymich, skalistych, stromych gór, wśród gąszczu drzew i krzewów, ponad przepaściami wije się zygzakiem linia kolejowa, poprzecinana tunelami, mostami, wiaduktami i balkonami przyczepionymi do stoku skał; przejeżdżając ten kawał kraju, podróżnik po stokroć razy doznaje wrażenia, iż razem z pędzącym pociągiem runie na dno przepaści, znajdując tam okropną śmierć. Ale nauka i umysł ludzki zwyciężył góry i przepaści; pociąg umknie, jak po równej drodze, zupełnie bezpiecznie.

Kurytyba to miasto znaczne, handlowe, zamieszkałe licznie przez Polaków. Są i szkoły polskie i księgarnia i czytelnia, wychodzą trzy pisma polskie: „Gazeta Polska“, „Polak“ i „Naród“, istnieją stowarzyszenia, dobrze rozwinięty handel, stała łączność z bliżej leżącymi Kurytyby koloniami polskiemi, słowem — Kurytyba to stolica życia polskiego w Paranie.

Głównem bogactwem tego kraju to olbrzymie, nieprzebyte lasy, wśród których rząd brazylijski osadza kolonistów polskich.

Zazwyczaj, jak wiadomo, kolonista nabywa dział gruntu, na rozpłaty. Jeżeli znajduje tam wybudowany już dom mieszkalny i szopę, kosztuje go to, ma się rozumieć, drożej, jeżeli zaś nie, to najczęściej na razie wystawia sobie barak, w którym urządza się wedle potrzeby. I dotychczas koloniści najczęściej nabywają grunt bez domów. Rozpłaty są bardzo udogodnione i niewielkie; rząd brazylijski, nie chcąc zniechęcać emigrantów, nie nalega bardzo o terminowe spłaty. System budowania kolonii — to wyciągnięta długa linia. Ale wobec tego, że jak się okazało, sposób taki jest niewygodny, ze względu na odległość jednej chaty od drugiej, zaczynają obecnie stosować w nowych koloniach system wioskowy, t. j. skupiają domy bliżej, zostawiając przy nich kawałki gruntu na ogrody. Okazało się to i praktyczniejsze i dogodniejsze.

Pierwszą pracą osadnika polskiego to przygotowanie gruntu pod uprawę ziemi. W tym celu upatrzony kawał lasu podpala się, a chociaż nie spłonie wszystko, jednak podszycie leśne, trzciny, krzewy, młodsze drzewo ogień strawi, z wielkich zaś drzew sterczą poopalone szkielety. Wtenczas przekopawszy jako tako grunt, o puszczeniu pługów bowiem wśród korzeni i pniów niema nawet mowy, osadnik zaczyna gospodarkę. Sadzi przedewszystkiem kukurydzę, tę bowiem najprędzej spieniężysz, fiżon, czyli czarną fasolę, kartofle, żyto, sprowadzone pierwszy raz przez Polaków, mandiokę, której słodki korzeń starty na mąkę, używany jest jako przyprawa do wszystkich potraw, ameisze, owoc podobny do moreli, a wreszcie urządzają winnicę i niektórzy osadnicy sporządzają już wcale niezłe wino.

Ma się rozumieć, aby dojść do tych pierwszych plonów, aby je zebrać, trzeba krwawej, wytrwałej pracy, znoju i czasu. Przyroda jest bogata, klimat pyszny, więc urodzaje bywają też sowite, ale na trudy i pracę osadnika polskiego czyhają klęski, które w przeciągu paru dni do szczętu mogą zniszczyć to wszystko, nad czem on pracował długie dni i tygodnie. Do takich klęsk zalicza się szarańcza. Trzeba widzieć miliony skaczących zwierzątek i doszczętnie zjedzone pola, aby mieć pojęcie o rozmiarach zniszczenia; w ciągu kilku godzin bogaty gospodarz staje się żebrakiem.

„Nabulio“.

Na strychu jednego ze starych domów na Korsyce, wśród starych pożółkłych papierówpierów odnaleziono zajmujący dokument, odnoszący się do lat dziecięcych Napoleona. Jest to rodzaj pamiętnika Michała Durazzo, wuja Napoleona.

„Ponieważ nie mieliśmy dzieci — pisze Durazzo — opiekowałem się dziećmi szwagra, który miał tak liczne potomstwo. Najwięcej kłopotu sprawiał mi Nabulio (zdrobniałe imię Napoleona). Dziwaczny to dzieciak. Objawiał zawsze jakiś szczególny pociąg do awanturniczości. Przytem stronił od swych towarzyszy, milczący, posępny, cierpki i złośliwy.

„Niezwykła jego duma, niesłychana zarozumiałość, ściągała nań często uszczypliwe drwiny kolegów. Dochodziło stąd często do bójek, w których Nabulio nieraz srodze bywał poturbowany. Bardzo często uciekał ze szkoły, wałęsał się całemi godzinami po lasach i skałach.

Z namiętnością zbierał ptasie gniazda, wspinając się na niedostępne skały, czem następnie z dumą się przechwalał. W szkole nie był lubiany przez nauczycieli. Jeden z nauczycieli mówił mi kiedyś:

— Zobaczy pan, że ten wisus jeszcze kark skręci!

Nienawidził morza i bał się go. Pewnego razu, podrażniony drwinami kolegów, wsiadł jednak ze mną do łódki. Po odbiciu od brzegu zbladł straszliwie i bliski był zemdlenia. Ale nadrabiał miną i gdy wysiedliśmy na ląd, twierdził, że przejażdżka ta wielką sprawiła mu przyjemność.

Pewnej nocy całe miasto wprawił w zaniepokojenie. Nad brzegiem morza stała ruina starego domostwa z wysoką wieżą. Nagle w nocy buchnęły tam płomienie, wywołując trwogę u zbudzonych ze snu mieszkańców. Służąca Bonapartych przybiegła do mnie z przerażeniem, wołając:

— Nabulia niema w domu!

Po chwili zauważył jakiś pasterz, że w oknach wieży płonącego domu porusza się jakiś cień. Poznaliśmy Nabulia. Po ugaszeniu pożaru zeszedł do nas zupełnie spokojnie. Oświadczył, że chciał doznać silnego wrażenia i mieć wspaniały widok, sam więc podpalił starą ruderę, poczem wszedł na wieżę, by się napawać widokiem płomieni odbijających się w morzu. Gdy mu robiłem wyrzuty, spojrzał na mnie pogardliwie, nie odpowiadając ni słowa, jak gdyby mnie uważał za zbyt ograniczonego umysłowo. Na drugi dzień odprowadziłem go do ojca, który zagroził mu rózgą. Ale Nabulio długo jeszcze przechwalał się swym czynem.

Jako cesarz zapraszał mię Napoleon kilkakrotnie do Paryża. Z zaproszeń tych nigdy nie korzystałem. Wolałem siedzieć spokojnie w swym kącie. Przytem nie znałem się na etykiecie dworskiej, a na starość nie chciało mi się uczyć czegoś nowego. Ale gdy cesarz był na Elbie — tak blisko Korsyki, musiałem przecież go odwiedzić. Było to 20. czerwca 1814 r.

Uściskał mię i ucałował serdecznie. Gdy sobie pomyślę, co to za czynów dokonał mój niesforny Nabulio! W głowie mi się to pomieścić nie może i nieraz wydaje mi się tylko strasznym snem! — Przypomniałem cesarzowi owo zajście z pożarem. Śmiał się, ale śmiech ten wydał mi się gorzki i wymuszony.

Przeszliśmy na terasę.

— Umieram tu ze wstydu i z passyi — rzekł cesarz. — Nie wytrzymam w tej klatce. Widziałeś wczoraj szpiega angielskiego, jak śledził każdy mój krok? Czemże ja teraz jestem? Pamiętasz moją świetność, moją sławę?

Nie odpowiedziałem ani słowa.

— Rady dać sobie nie mogę. Chcą mię doprowadzić do samobójstwa. Ale ja im stąd się wymknę. Wrócę do Francyi — tam mię przyjmą z otwartemi rękoma! Burbony na mnie godzą! Mówią, żem parweniusz! Ale ja się im jeszcze dam we znaki.

Cesarz umilkł i począł przechadzać się niecierpliwie, nerwowym krokiem.

— A co porabia syn twój Antoni? Gdy wrócę do Paryża, niechaj się do mnie zgłosi. Żądam tego. Mianuję go jenerałem, jeśli ma odwagę i przytomność umysłu.

Wieczorem cesarz grywał w karty lub w szachy. Wcześnie jednak udawał się na spoczynek. Nie mógł znosić obecności pułkownika angielskiego, Campbella. Przy pożegnaniu powiedział mu:

— Z dnia na dzień czuję się coraz śmieszniejszym w oczach Europy. Tu, w tej dziurze! Ale ja jeszcze poruszę cały świat, jeszcze mu dam uczuć mą władzę. Francya jest za mną...

Na tem się kończy pamiętnik Durazza. Autor jego doczekał się jeszcze i wygnania „Nabulia“ na wyspę św. Heleny.

KRONIKA.

Z Ameryki. Krwawe, nieludzkie walki, jakie przez parę tygodni szerzyły się między ludnością białą a murzynami w Ameryce, dopiero w ostatnich dniach przycichły i teraz też dopiero nadchodzą wiadomości, przynoszące okropne szczegóły o rozruchach. W mieście Springfeldzie zatargi pomiędzy białymi a murzynami przybrały niezwykłe rozmiary rzezi ulicznej. Rozszalały tłum napadał na murzynów, palił i rabował mieszkania ich i wszyscy ujęli za broń, wymierzoną przeciwko czarnym. Dopiero przysłane wojsko i ochrona policyi z trudem zdołały uchronić murzynów od zupełnej zagłady. Znaczna część murzynów wyniosła się za miasto.

Postępowanie białych z murzynami doprowadza tych ostatnich do szalonych czynów. W Springfeldzie, na ulicach którego lała się tak obficie krew czarnej ludności, stoi jakby dla szykany pomnik Abrahama Linkolna, jednego z pierwszych prezydentów Stanów Zjednoczonych, człowieka, który życie całe poświęcił dla uregulowania stosunków między białymi a murzynami. Gorliwie też walczył w obronie tych ostatnich, dopominając się dla nich praw i przywilejów należnych każdemu człowiekowi. Zginął z ręki zabójcy w czasie wojny pomiędzy Stanami Ameryki Południowej i Północnej. Dziś jakby na urągowisko patrzy z kamiennego piedestału na to, co się dzieje w postępowej Ameryce...

Cholera. Gazety rosyjskie przynoszą co dzień niepokojące wiadomości o cholerze, jaka grasuje na całym obszarze Rosyi. Z Serbii epidemia ta przeniosła się już do Kijowa, a wypadek, jaki zdarzył się w okolicach przystanku Koszary w pobliżu Chełma zaniepokoił żywo całą ludność Królestwa. Zarząd kolei delegował na miejsce lekarza dra Michelisa, który stwierdził, co następuje:

W odległości wiorst 10-ciu od przystanku Koszary, we wsi Rużyn, w przeciągu dni 5 zaszły cztery wypadki zapadnięcia na cholerę. Dwa pierwsze wypadki zakończyły się śmiercią. Zmarłych pochowano trzy dni temu. Oględzin zwłok nie zarządzono. Dwa wypadki następne zakończyły się pomyślnie, chorzy znajdują się w stanie wyzdrowienia.

Może straszna ta klęska wobec chłodu i rychłej a mroźnej — jak zapowiadają — zimy, ominie nas; w każdym razie należy w codziennym życiu poczynić pewne ostrożności, aby nie ściągnąć okropnego nieszczęścia.

Przedewszystkim głównym warunkiem zabezpieczenia się przed epidemią, to — **czystość.**

Czystość w każdym wypadku i na każdym miejscu: częste mycie dłoni, szczególniej przed jedzeniem, czyste przygotowanie jadła, zwrócenie uwagi na świeżość produktów, unikanie picia wody, (najlepiej używać przegotowaną), nie objadanie się owocami — oto główne warunki, aby samowolnie nie narazić siebie i innych na klęskę.

A jeszcze raz powtarzamy, że **czystość** — którą u nas szczególniej po wsiach tak się lekceważy — to najpewniejszy środek uniknięcia nieszczęścia.

Pod bagnety za bilet. Pewna pasażerka wracała do Warszawy z zagranicy, a posiadając książeczkę z biletami okólnemi, z której na stacyi Włochy pod Warszawą konduktor wyrwał ostatni bilet, sądziła, iż książeczka jest już niepotrzebną, wyrzuciła ją więc przez okno wagonu. Po przyjeździe do Warszawy, przy wyjściu, panią B. wraz z dziećmi aresztowano, jako nie posiadającą biletu i pod karabinami odprowadzono do drugiego budynku stacyjnego od alei Jerozolimskiej, przed oblicze naczelnika stacyi, który zażądał podwójnej zapłaty za bilety jazdy od granicy do Warszawy. Z trudnością udało się pani B. przekonać naczelnika stacyi posiadanemi dowodami na wiezione z sobą bagaże i po godzinnej pertraktacyi i powołaniu się na świadectwo nadkonduktora i jadących z nią osób, znanych w Warszawie, uwolniono ją i zanoszące się od płaczu dzieci z pod karabinów.

Wyznanie zbrodni. Przed 9 laty na szynach kolejowych w Podgórzu znaleziono zwłoki robotnika kolejowego Staszczyka; na podstawie przedsięwziętych dochodzeń wydano orzeczenie, że zaszedł tu prawdopodobnie nieszczęśliwy przypadek i zwłoki pochowano. W ostatnim czasie zgłosił się do sądu w Wadowicach robotnik Dominik Filipowski, który właśnie ukończył karę 3½-letn. więzienia za zbrodnię podpalenia i podał, że popełnił morderstwo na osobie Staszczyka. Sąd wadowicki odesłał sprawę do Krakowa i tutaj — o ile słychać — Filipowski wypiera się swego przyznania, twierdząc, że złożył je w stanie opilstwa i zamroczenia umysłu. Lekarze fachowi nie wykluczają możliwości takiego przyznania się i obwinienia samego siebie w stanie zamroczonego umysłu. Dalsze dochodzenia w tej sprawie mają być prowadzone, gdyż podobno szczegóły zbrodni zgadzają się z przyznaniem Filipowskiego w wadowickim sądzie.

W Galicyi strzelają do chłopów jak do zajęcy. We wsi Maćkowce koło Przeworska (własność księcia Lubomirskiego) pastuch pasł 5 sztuk bydła, należącego do gospodarza Jakóba Pieniążka. Bydło weszło na dworskie grunta, a dworski polowy zajął je. Pastuch pobiegł do gospodarza, który zaraz przyszedł i stojąc conajmniej 30 kroków od polowego, prosił polowego, aby zajął jedną krowę, a resztę mu zwrócił. W odpowiedzi na to polowy strzelił do chłopa i wpakował mu w brzuch cały nabój grubego śrutu. Chłop po krótkich męczarniach **skonał,** osieracając żonę, leżącą w połogu i 6 bardzo drobnych dzieci!

Kapłan niemiecki o Sobieskim. Z Wiednia piszą nam: Z tłumami Wiedeńczyków, śpieszących d. 13. b. m. na uroczystość Imienia Maryi na Kahlenbergu, podążyłem i ja, ażeby w dniu pamiątkowym chwały oręża polskiego złożyć hołd obrońcom wiary i ojczyzny na miejscu, gdzie sprawiały się szyki nasze pod wodzą króla Jana Sobieskiego modlitwą do ciężkiego boju z czcicielami półksiężyca. Kościół schludnie odnowiony, przystrojony, co zasługą ks. Kuklińskiego, zastałem przepełniony. Po nabożeństwie wyszedł na ambonę ks. prałat Fr. Binder, proboszcz kościoła XX. Augustyanów w Wiedniu. W pięknej mowie, sławiąc cześć Maryi, wspomniał o wielkich dziełach, dokonanych przez jej czcicieli, przytaczając jako dowód obecną rocznicę. „Czciciel Maryi Jan Sobieski, król polski i rycerze polscy sodalisi Maryańscy, zostali przez Maryę nadesłani tu jak aniołowie na ratunek Wiednia i całego chrześcijaństwa,“ to też od katol. Wiednia należy się im wdzięczność. — Zamilczają to książki — mówił dalej ks. prałat — z których

młodzież uczy się historyi, świat bowiem dzisiejszy egoistyczny i niewdzięczny, ale fakta same za siebie mówią.

Nie chciałem sam wierzyć swym uszom, aby kapłan niemiecki do niemieckiego audytoryum tak przemawiał. I może pierwszy to raz tu na Kahlenburgu dano świadectwo rzetelne prawdzie. Cześć takiemu Niemcowi. Rozrzewniony wspomnieniami miejsca i kazaniem, udałem się do zakrystyi podziękować kaznodziei za ciepłe słowa, poświęcone pamięci drogiej nam przeszłości. Z prostotą odrzekł: „Zaniedbaliśmy wiele za usługę ową historyczną waszą, trzeba nam teraz to odrabiać.“

Bojkot karczem. W okolicy Podwołoczysk, we wsiach Kamionka, Bogdanówka i niektórych innych, trwa już od dwóch tygodni bojkot karczem w niedziele i święta. Kilku energicznych księży i nauczycieli ludowych wzięło się do roboty i wreszcie udało się im przekonać włościan o szkodliwości pijaństwa. Chłopi we wsiach powyższych stanowczo **nie chodzą do karczem**, nic w nich **nie kupują**, a notorycznych pijaków parobcy siłą do karczmy nie puszczają.

Sprawy sądowe.

D. 20. czerwca b. r. gospodarz Józef Wyrewka, dobrze podchmielony, przechodził w Tyńcu około domu Michała Piątka, stojącego właśnie przed domem. Wyrewka — jak się później pokazało — zaczął się z Piątkiem przekomarzać i nazwał go „złodziejem świec kościelnych“. Piątek uznał wyrażenie za wielką obelgę i postanowił zemścić się krwawo na przeciwniku.

Porwał za „podkulek“, okuty żelazem i napadłszy Wyrewkę, uderzył go kilkakrotnie tak silnie w głowę, że „podkulek“ się złamał, a nieprzytomny Wyrewka upadł na ziemię. Rozjuszony Piątek znęcał się jeszcze dalej nad nim tak, że Wyrewka skonał pod ciosami. Sekcya sądowo-lekarska wykryła dużo ran na głowie, rękach i nogach Wyrewki; miał pięć złamanych żeber, naruszony mózg, płuca i wątrobę.

Michał Piątak został oskarżony o zbrodnię zabójstwa. Obwiniony tłomaczył się przed sądem, iż w chwili krytycznej był pijany; świadkowie zeznali, że echa uderzeń słychać było daleko, a katowany człowiek wołał: Piątek nie bij!

Na podstawie werdyktu przysięgłych Michał Piątek skazany został na 2½ lat ciężkiego więzienia z postem co miesiąc i ciemnicą w dniu spełnienia zbrodni. Skazany wyrok przyjął.

Kara śmierci. W dniu 10. b. m. przed ławą przysięgłych w Stryju była rozpatrywana sprawa Anny Kosarowej (lat 30) i Fedora Deputowicza (lat 25), mieszkańców Suchodola, oskarżonych o zamordowanie Michała Kosara, męża Anny. Inkryminowanego czynu podsądni mieli się dopuścić w nocy dnia 29. czerwca b. r. po poprzedniem porozumieniu się. Kosar został zamordowany na drodze do Doliny. Ciężko poranionego zrzucili mordercy z mostu do rzeki, gdzie skutkiem rozbicia czaszki o podwodne kamienie poniósł śmierć na miejscu. Zbrodnię wywołała chęć utrwalenia stosunku miłośnego, jaki łączył oskarżonych już od 3 lat. Podsądni do zarzuconej im zbrodni przyznali się. Deputowicz został skazany na śmierć, Kosarowa na 15 lat ciężkiego więzienia.

Ostatnie wiadomości.

Na pierwszem posiedzeniu Sejmu we Lwowie zapowiedział marszałek krajowy Badeni, że Sejm musi się zająć reformą wyborczą i sprawą połączenia obszarów dworskich z gminami.

Namiestnik dr. Bobrzyński oświadczył, że się będzie starał o to, aby urzędnicy i starostowie urzędowali uczciwie i sprawiedliwie. Dalej, że nad starostwami czuwać będą kontrolorzy, wkońcu zapowiedział namiestnik, iż starać się będzie o to, aby w każdej gminie założono szkołę. (Brawo!) —

Poseł ruski Oleśnicki oświadczył, że ten Sejm uważa tylko za **przejściowy**, powołany jedynie po to, aby **zrobił reformę wyborczą**. Sejm więc powinien natychmiast zebrać się do uchwalenia reformy wyborczej, następnie go rozwiązać, wybrać nowy Sejm sprawiedliwy, a ten nowy Sejm dopiero zabierze się do naprawy innych niesprawiedliwych ustaw. —

Takie samo oświadczenie powinni byli zrobić posłowie ludowi, ale niestety **nie zrobili tego**, żaden nawet pary z ust nie puścił. Widać z tego, że chcą siedzieć 6 lat w tym Sejmie szlacheckim.

Dzienniki donoszą, że posłowie ludowcy porozumieli się w Krakowie ze stańczykami, aby w Sejmie razem iść. Nie chcemy temu wierzyć, ale gdyby tak — broń Boże było — toby posłowie ludowi poszli na usługę lokajską do panów. Czyżby p. Stapiński tak już nizko upadł, żeby się podał na kamerdynera stańczyków. To chyba niemożliwe. Zresztą na świecie różne dzieją się rzeczy.

Epidemia cholery. Jeneralny inspektor austryackich kolei państwowych wysłał referenta sanitarnego na linie galicyjskie, aby przygotować zarządzenie przeciw zawleczeniu cholery z Rosyi.

Petersburg. Cholera rozszerza się z taką szybkością, że władze są zupełnie bezradne. Stwierdzają, że nigdy jeszcze nie zauważono tak szybkiego postępu epidemii. W 5 dniach zaszło 337 wypadków cholery; z tego **86 osób** umarło, 250 jest jeszcze w szpitalach, a jedna tylko osoba wyzdrowiała. Magistrat petersburski nie może sobie poradzić z brakiem miejsca. Okazało się, że brak wszystkiego, niema wozów do przewożenia chorych w szpitalach, niema środków dezynfekcyjnych i o wszystko trzeba się dopiero starać.

Petersburg. Liczba chorych na cholerę w Petersburgu z każdym dniem wzrasta. Komisya sanitarna zajęła się poważnie sprawą walki z cholerą. Miasto podzielono na 143 dzielnice sanitarne, podlegające rozporządzeniom 11 okręgowych zarządów sanitarnych. Otwarto 7 stacyj szczepienia surowicy antycholerycznej. W dzielnicach fabrycznych postanowiono przygotować lokal, w którymby gotowano dla robotników herbatę i dostarczano im wody przegotowanej.

Odpowiedź Redakcyi.

P. Rudol. Posłaliśmy Pani 2 razy „Warszawę“ i 2 razy ktoś ukradł. Takie są u nas w Galicyi porządki.

CENY TARGOWE
z dnia 14. września 1908.

	za	od K	od h	do K	do h
Pszenica uszkodzona	100 kg	20	30	21	20
Pszenica czerwona i żółta	„	22	50	23	70
Pszenica węgierska	„	23	50	24	—
Żyto krajowe	„	18	20	19	50
Żyto węgierskie	„	20	—	21	—
Jęczmień na krupy	„	16	20	18	40
Jęczmień browarny	„	—	—	—	—
Owies z opłatą akcyzową	„	16	80	17	70
[illegible]	„	13	70	14	60
Jagły	„	24	—	26	—
Tatarka	„	17	60	18	80
Kukurydza	„	18	30	19	—
Groch	„	24	60	29	—
Fasola	„	17	—	28	—
Wyka	„	—	—	—	—
Słoma	„	9	—	9	90
Siano	„	9	—	9	70
Koniczyna pastewna	„	10	60	10	80
Ziemniaki	„	5	—	6	20
Jaja	kopę	3	20	3	60
Masło	1 kg	2	20	2	40

Zawiadomienie.

Tanio do sprzedania wspaniałe obrusy we wszystkich kolorach, kwiaty adamaszkowe po 2 korony i wyżej za obrus. **Kapy na łóżka** bardzo gustowne po 3 korony i wyżej za sztukę. **Koce** flanelowe wełniane prawie za bezcen t. j. po 3 korony do 14 koron za sztukę, również **płótno** na bieliznę we wielkim wyborze. Towar nienadający się wymieniam.

Tkalnia Antoniego Baruta w Korczynie koło Krosna. 38—52



Tak zachwalane

Singera maszyny do szycia i [illegible] przez agentów Towarzystwa pruskiego, są starego systemu, wyszłego z użycia, które co do wykończenia, jakości, jak również najlepszych ulepszeń, nie wytrzymają konkurencyi z maszynami, które trzymam na składzie. Prowadzę handel od 35 lat bez pomocy natrętnych agentów. Ostrzegam przed agentami, którzy za swoje pośrednictwo otrzymują 20—30 proc. prowizyi kupujący zaś lichą i drogo zapłaconą maszynę pod nazwą „Oryginalna“.

Pierwszy i największy w kraju

SKŁAD MASZYN DO SZYCIA

który nie posługuje się agentami.

JÓZEF IWANICKI, mechanik i specyalista.

Proszę żądać cenników. **LWÓW, Hotel Żorża.** 38—52

Warszawa w 1794 r.

DZIEŁO HISTORYCZNE,

napisane przez

Ks. Wacława Kapucyna

wyszło z druku.

Cena dla Prenumeratów „Obrony ludu“ 1 K 10 h. — wraz z przesyłką pocztową. Dla nieprenumeratorów cena 2 korony.

Zamawiać i pieniądze przesyłać przekazem pocztowym należy pod adresem: „Obrona ludu“ KRAKÓW Karmelicka 53.

Książkę wysyłamy zaraz po otrzymaniu pieniędzy.



Jędrzej Krukierek

SKŁAD

Maszyn Rolniczych

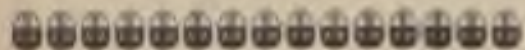
w KROŚNIE

poleca MASZYNY do wyboru DACHÓWEK CEMENTOWYCH i innych artykułów betonowych; wszelkiego rodzaju maszyny rolnicze.

= Towar pierwszorzędnej jakości. =

Ceny niskie.

Cenniki wysyła na żądanie darmo i opłatnie.



Męski ankier remontoir



z portretem Kościuszki, Mickiewicza lub z godłem polskiem bardzo dobrze idący na min. wyregulowany zlr. 1·95. Na żądanie wysyłam darmo i opłatnie katalog illustrowany zegarów, zegarków, wyrobów jubilerskich, chińskiego srebra, przyborów i narzędzi jubilerskich oraz instrumentów muzycznych.

HARMONIKA

z 8 klawiszami kor. 2·90 — z 10 klaw. pięknie wykonana kor. 4·90

w dużym formacie z 10 klawiszami i z 2-ma rejestrami koron 7, z 3-ma rejestrami i klawisze z perłowej macicy kor. 9·90.

F. PAMM, Kraków,
ul. Zielona Nr. 3—20. 38—52



Do rentownego interesu

potrzeba spólnika z kapitałem 8 do 10 tysięcy koron, które mogą być na kamienicy zahipotekowane. Bliższych wiadomości udziela Redakcya.



Na reumatyzm

gościec, postrzał (ischias) i wszelkie nerwobóle, poleca się uśmierzające nacieranie od lat wielu ogromnie rozpowszechnione, przez wielu lekarzy ordynowane i przez znakomitości uznane.

Linimentum Gaultheriae compositum

z prawnie zarejestrowaną markę ochronną

„NERWOL“

chemika dra Juliusza Franzosa w Tarnopolu.

Cena flakonu 80 h, 10 flakonów 8 K, nie licząc opakowania i franco. — Tysiące listów dziękczynnych do przeglądnięcia. Dwa razy dziennie wysyłka pocztowa. — Do nabycia w każdej większej aptece, względnie w aptece

Dra Juliusza Franzosa w Tarnopolu.

W Makowie, do nabycia w aptece L. Francza, w Krakowie, w aptece Wiśniewskiego i Marudzińskiego.

Taniej niż wszędzie!

Znakomite płótna korczyńskie

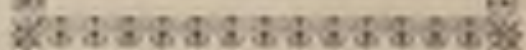
Bieliznę stołową i wszelkie inne wyroby tkackie. Również silne materye na ubrania, dla każdego stanu i na każdą porę poleca:

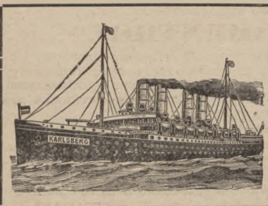
TKALNIA JÓZEFA JÓRASZA

„pod opieką Najśw. Rodziny“

w Korczynie obok Krosna (Galicya).

(Na żądanie próbki z oceną darmo i opłatnie). 38—52





Zjednoczone austr. akcyjne towarz. żeglugi parowej

„AUSTRO-AMERICANA“

Regularna i bezpośrednia komunikacya z AUSTRYI do AMERYKI, KANADY i t. d. Trzymajmy się zasady: „swój do swego“! Kto więc chce jechać, niech się uda tylko do firmy krajowej:

Jeneralna Ajencya dla Galicyi i Bukowiny i sprzedaż kart okrętowych

GOLDLUST I SP.

KRAKÓW, ul. Lubicz 7, (naprzeciw dworca kolejowego). — LWÓW, ul. Na Blonie l. 2. — CZERNIOWCE, BRODY, NADBRZEZIE, PODWOŁOCZYSKA, SZCZAKOWA, oraz wszystkie prowincyonalne ajencye. — Jedyne towarzystwo żeglugi, upoważnione reskryptem ministeryalnym z dnia 30 kwietnia 1904 do l. 21903 do ustanowlania ajentów i reprezentantów we wszystkich miejsc. Austryi.

Zastępstwo Austryackiego l p. „Lloydu“. 38—52

Wydawca i Red. odpowiedzialny: Dr. Michał Danielak. Drukiem „T. D. N.“ (P. Mitręgi) w Cieszynie.